

# „To jest wasze życie”

## Małgorzata Baranowska – Fragmenty

20 V 1980

Ty-siąc k-oni prze-pusz-cza-a-my, a jed-ne-go za-a-a-a-trzy-ma-a-a-myy! Dziecko zna smak Losu, który zaraz zetnie uciekającego na literę yyy, napawa się nim, tak jak i my to robiliśmy, ćwiczyliśmy, przerabialiśmy, przebieraliśmy w kolegach z podwórka, w rodzeństwie, w gościach. Dzisiaj ból, który ścigał nową całą dzień, a ona zaciskała szczęki, dognał ją przez sen wędzając w wycie, które, co pół godziny, podniosło nam włosy na głowie.

21 V 1980

Nowa na trzeźwo znowu panuje nad wyliczanką, to ona górą, ona może wolność dać lub zabrać.

22 V 1980

Duszę także rozpoznaje się zmysłami, kiedy się dowiedzia-łam, że może ona ma coś wspólnego ze światłem lub płomieniem, bałam się, czy aby tajemnica ta nie jest mocno cuchnąca. Nabrałam podejrzeń w kontaktach z fascynującym mnie wtedy karbidem, używanym do oświetlania mieszkań wypalanej Warszawy.

23 V 1980

I wtedy nastąpiła iluminacja. Zobaczyłam jakiś obrazek, reprodukcję, czego? Szukam go od lat, ale choć obejrzałam już setki świętych Hubertów, tego nie mogę odnaleźć.

26 V 1980

To było trudno ukryć. Tak sądziłam. Byłam pewna, że zarówno moje myśli, jak i sny zaczęły świecić, że być może ktoś zauważy, odkryje wszystkie moje tajemnice. Bo jeszcze właśnie wtedy śnił mi się jedyny, przez całe życie do dzisiaj, pogodny i kolorowy sen.

Poziomki tak pachniały, tylko wiecie, jak trudno coś we śnie zjeść. Niestety, jak sen przyjemny, to pozbawiony całkowicie fabuły. Nic się niby nie działo, ale ja czułam, że coś nadzwyczaj ważnego się stało. Niby nie wiedziałam co, niby bez wydarzenia się działo, niby nie chciałam nowych tajemnic zakładać, niby bałam się kłopotów z niezrozumiałością świata, a ciągnęło mnie. I wiedziałam od razu, co się zdarzyło na sennie polanie. Zobaczyłam równie dokładnie, jak w tej chwili widzę tóżko z blozkami do gimnastyki, które, na szczęście, nie są mi potrzebne. Zobaczyłam, w kolorach, że wydzieliła się moja Osoba, zobaczyłam się z boku z niedźwiedziem. Słyszałam takie słowo, ale nie czułam się dotąd osobą, dopiero kiedy zobaczyłam się z zewnątrz, doszłam do wniosku, że nią jestem. Znowu tyle zachodu, jak to przemyśleć, i bałam się, że to przeze mnie prześwieca. Ciało, dusza, osoba, było nad czym się zastanawiać, niedźwiedź, jeleni, świecące słoń, otaczały mnie same tajemnice i ja otaczałam tajemnice pieczołowitą troską.

Nie wiadomo, czy warto było robić tajemnicę, dorosli są tak egocentryczni, że na pewno nie są w stanie widzieć, że świeciłam. Ale sama tajemnica mocniejsza była ode mnie. Dorosli są skrajnie egocentryczni i w dodatku myślą, że wszystko rozgrywa się tylko między nimi. Ale ja już wtedy sprawdziłam, że historia ludzkości zaczyna się między dziećmi. Dorosli to nawet malują, ale tego sami nie widzą. Podglądałam w kościele, mówili sami, i myślą, że się nie rozumie. Przecież ten mały, płaski chłopczyk, co ssał matkę, to dziecko było czy nie? A ten drugi, ubrany w skórę, co później polewał go wodą, też był dzieckiem. A te wszystkie dzieci, które zamordowano, szukając tego, który ssał matkę?

4 VI 1980

Dusza nieśmiertelna, a ciało nie, znowu ten podejrzany dualizm, w dodatku coś mówili o ciele, że kiedyś się odnajdzie. Ale które? Takie jak miał jeszcze T. niemowlak czy takie jak moje – już chodziło i mówiło – czy takie jak dorosłych? E! Nie warto było się nad tym zastanawiać, bo ciało istniało, a dusza jeszcze była tajemnicą. Jeszcze! I ciało, ta klucha, niby miało istnieć bardzo? bardziej?

5 VI 1980

Najpierw sądziłam, że to drzewa są nieśmiertelne, i to podejrzenie mnie nie opuszcza, mimo wszystkich „racji”. Miałam drzewo, na którym sprawdzałam ciągle zarówno nieśmiertelność, jak nieskończoność, nieskończoność na liściach, bo ta dwustuletnia topola miała ilość liści niepoliczalną, a że naokoło były inne liście – mnie tyle do nieskończoności wystarczało.

8 VI 1980

Nie mogę powiedzieć, żeby kiedykolwiek ta oś się we mnie zachwiała, a jednak dużo później, mając już pod trzydziestkę, przeżyłam jedno z najsilniejszych wrażeń i zdumień poznawczych mego życia, niewątpliwie związanych z Drzewem i od razu odbitych na mojej osio-topoli, już wówczas uciętej. Było to w Vincennes. Olbrzymia wystawa roślin. Nagle przy wschodnio wyglądającym pawiloniku z małą sadzawką otoczoną przez... uzbrojonych strażników zobaczyłam kilka doniczek, a w nich mit, rósł sobie tam po prostu. To były te japońskie miniatury drzew, miały od czterystu do sześciuset lat, może nawet jedno miało osiemset, już nie pamiętam. Pamiętam natomiast straszne uczucie lodowatego zdumienia, czuję jeszcze, jak obciążam się gęsią skórą i włosy mi się jeżą. Bo nagle znajduję się nad olbrzymem niebotycznym i fascynująco starym, zwężlonym, korzeniastym, z korą narastającą od wielu pokoleń, z wykrotami pod korzeniami, z olbrzymią ilością urągających mym zmysłom szpilek, przecież widzę, że nawet one nie są młode, po kolorze widzę czy po czym, nie wiem.

Całe moje jestestwo nicuje się w parę sekund, bo przecież jestem nad nim, nad olbrzymem, i popełniam świętokradstwo, patrząc okiem Boga. Nigdy, żaden obraz Salvadora Dali ani nic innego, inaczej sztucznego chciałam powiedzieć, nie zrobiło na mnie takiego wrażenia. Nie mogłam się z niego otrząsnąć, wciągało mnie w wizje, w których robiłam się karzełkiem zagubionym w niezmiernych obszarach doniczki, a za chwilę olbrzymem, który jedną ręką mógł zniszczyć sześćset lat, zniszczyć, byłam bliska przejścia na bałwochwalstwo, zapalałam przerażającą, przerażona miłością do tych drzewek.

9 VI 1980

W tym samym jądrze fascynacji może najbardziej fascynujące jest to, że owe drzewka nie są karłami, tylk miniaturkami olbrzymów. Nie, nie są karłami, nie mają nic nieproporcjonalnego w sobie, będąc wybrykiem sztuki ogrodniczej, zachowują godność właściwą znającym swe wysokie społeczne miejsce starcom pięknym, spokojnym, ufającym w Przeznaczenie, które dało im miejsce w doniczce i stałą pielęgnowanie.

11 II 1981

Ustaliły się ściśle związki ziemi z niebem, tym samym nie wiadomo, czy nie z duszą.

12 II 1981

Dopiero przy Jakubowej drabinie znów się zachwiało, nie związek, ale odległość. Niby że anioły miały schodzić na dół, ale po co, skoro mogły latać, nie musiały używać drabiny. Znów drabina między niebem i ziemią, jak długa, gdzie się zaczyna i gdzie kończy. Może one, te anioły, nie mogły się przebić przez chmury na dół i Bóg Ojciec wypchał im drabinę z chmury? Tak by wyglądało na arrasach wawelskich, a wtedy, w Warszawie, co trzeci przedmiot to drabina. Bo jak się dostać na rusztowanie, do domu bez schodów, do gołębnika, do tynku świeżego, do gzymsu, jeśli się kawka zapłącze w słupie, jeśli dzieci zależą po ułamkach domów gdzie nie trzeba, jak się dostać do miejsc na obrazy w kościołach, do obrazów, do pożaru nawet też drabina, i tak wszędzie.

Warszawa przypominała wieżę Babel z drabin i cegieł starych i nowych. Jakby tak sen zaskoczył Jakuba tutaj, toby te anioły otoczyły go rozsegregowaną przez drabiny ukośną chmurą, byłyby też w piwnicach, suterrenach, w jamach, w enklawach wśród cegieł, wylądowałyby na stertach, kupach, zwaliskach, konstrukcjach. Dzieci tutaj by się, zwłaszcza wtedy, zupełnie nie krępowyły. Jeszcze jedna drabina? Niebieska? Anielska? Tym lepiej. Niewątpliwie by z niej skorzystały i ta napowietrzna klatka drabin, częściowo i wewnętrzna ziemna, powiązałyby się węzłami dzieci i aniołów.

No tak. Już każdy rozumie, co mnie obchodzi przede wszystkim.

Żyje. Wszystkie inne organizmy żywe w przyrodzie także to praktykują. One jednak nie pytają: jak żyć? A przecież przechodzą różne kursy, na przykład: jak szczypać trawę, polować, latać omijając niebezpieczeństwo.

Istnieją niebezpieczeństwa, których ani one, ani my, ludzie, nie jesteśmy w stanie ominąć, i żadne kursy czy porady nie w tym nie zmieniają.

Kiedy już nas to spotka, nie sądzę, byśmy się bardzo różnili od zwierzęcia w potrzasku.

Opis choroby i walki z nią, który stosuję na co dzień, nie ma przeszłości ani przyszłości, tylko bardzo zwięzły konspekt teraźniejszości. Całkowicie mi to wystarcza, aż nadto. Zresztą, czy ktokolwiek zdrowy ciągle opowiada, jak żyje. Przeważnie po prostu żyje. Opowiada jednak wydarzenia, ważniejsze fakty, zmiany. A trzeba powiedzieć, że choroba ich dostarcza. Choroba jest bardzo fabularna w znaczeniu takim, jak się pojęcie fabuły najprościej rozumie – jako ciąg zdarzeń.

Stało się. Zachorowałam. Zachorowałem. Mój bliski zachorował. Większości ludzi narzuca się pytanie: „dlaczego akurat mnie to spotyka?”

Czy popełniłem błąd? Czy to moja wina? Czy spada na mnie kara Boska? Ale za co? Czy zrobiłem coś, co mi po prostu bezpośrednio zaszkodziło? Czy ja w ogóle na coś przedtem chorowałem? Czy ta choroba zdarzyła się już w mojej rodzinie?

Takie szukanie może nas doprowadzić aż do Księgi Rodzaju, ale nie da odpowiedzi na to, co dręczy. W tradycji judeochrześcijańskiej jedynymi ludźmi naprawdę zdrowymi byli Adam i Ewa (do czasu popełnienia tamtego głównego błędu). Więc co? Winić za chorobę grzech pierworodny?

Trzeba jednak powiedzieć, że wielu ludziom absolutnie konieczne wydaje się jakieś bliższe wytłumaczenie. Mniej biblijne. Wielka szkoda, bo akurat Biblia jest cudownym i sprawdzonym źródłem pytań bez odpowiedzi i odpowiedzi, nim się jeszcze zada pytanie.

Sama czuję się zaskoczona – jak ja nagle doszłam do pisania takiej książki. Przyznaję, że się boję. Wprawdzie nikt się chyba po niej nie spodziewa jakichś dokładnych przepisów na życie, bo wszyscy wiedzą, że takie nie istnieją. Ale jednak muszę się pokusić o parę, a może nawet wiele uogólnień mających pewne

A dusza, czy odnalazłaby się wśród tych klatek, polatywać, wdrapywać, skoro miała się jakoś bez tego unosić, bez skrzydeł, bez motorów, podobno sama? Brak wyraźnej granicy nieba, zasłony ceglane nałożone na przestrzenie rozpościerające się wolno przed moimi oczami, wszystko to oddalało mnie od natrętnego brzęczenia dualizmu przez swą dziwną odpowiedniość. Budowle mają ciało i przestrzeń, przecież podpatrzyłam, jak się ona wydostaje na zewnątrz, jak się nie daje ująć w siatkę, nawet Jakubową. Przezroczyste przestrzenie kamienic zapamiętanych w tym mieście wcześniej, na długo przed moim urodzeniem, przez ludzi powracających, powróconych, obudowywały się stale przez ceglane ciało, zaznaczając, niewidzialne dla innych, a dla mnie naturalne, strefy.

Dusza powoli i nieświadomie nabierała dla mnie charakteru przestrzeni. Znikły dziecinne jej duszy łachotania mnie w gardle. Znikła obawa o jej tajemniczy związek z karbidem. Poczulałam nagle, że podobnie jak kamienice nie są w stanie obmurować powietrza, a są zdolne trwać, rosnąć, zmieniać się tak i ja nie mam już potrzeby bać się o tę przestrzeń, która wyrasta poza mnie albo poza mną.

19 V 1980

Los taki, że lubi, jak się ucieka.

Pamiętnik mistyczny (fragmenty) „Czytelnik” 1987

cechy porad. To odpowiedzialność. W dodatku ta książka ma stronę tak bardzo osobistą. Ale w końcu wiersz i wszystkie inne publiczne wystąpienia zawsze zawierają w sobie pracę naszego ja i muszą je w dużej mierze odsłaniać. Trudno.

Dziwne, ale bycie sobą nie należy wcale do stanów jednoznacznie oczywistych. Wielu ludziom wydaje się na tym nie zależeć i kiedy przychodzi jakaś poważniejsza życiowa próba, nie są w stanie poczuć się jednostką osobną, wolną, niepowtarzalną.

Wyraźnie uświadomione poczucie kim się jest, będzie państwu szczególnie potrzebne we współżyciu z chorobą przewlekłą, z jej nudą, namolnością, nieustępliwością. Moją dewizą jest: „nie będą mną rządzić jakieś chromosomy i jakieś bezrozumne leki” – trzeba jednak przyznać, że one w dużej mierze rządzą. Problem w tym, żeby zachować własne rozeznanie w świecie i wolną wolę, nie dać się zdominować czystej fizjologii choroby i leczenia. Na przykład uznając ozdrowieńczą siłę leków hormonalnych musimy znać i siłę niszczącą – próbować ją opanować (nie rzucając oczywiście leczenia). A tego nie da się zrobić inaczej niż sobą. **T r z e b a t y l k o s i e b i e m i e ć.**

Proszę państwa, **j e s t e ś m y w o l n i.** Nikt nie zmusza nas do pograżenia się w żalobie, bo zachorowaliśmy. Nikt nie zmusza nas do pozostawania w samotności, bo zachorowaliśmy.

Nie możemy rozbić wszystkich strasznych ograniczeń przez chorobę spowodowanych. Odwołajmy się jednak do naszej duszy, uczuć, rozumu. Tu muszę zacytować okrzyk Marysi Sz. Pewnej nocy, kiedy nowa chora w ostrych bólach zawodziła: „O, ja biedna, o, ja biedna” nagle w ciemnościach rozległ się stanowczy głos Marysi: „Biedny to ino diabeł, bo duszy ni mo”. To zdanie już wiele razy kazało mi się mozolnie drapać w górę.

Dusza, świadomość, rozum, uczucia zobowiązują do pozostania człowiekiem. Choroba wcale ich nie odbiera. Oprócz wyjątkowych wypadków nie odbiera również możliwości nawiązywania kontaktów. Ludzie są wszędzie.

Ludzi życzliwych znalazłoby się znacznie więcej, niż jakkolwiek chory mógłby znieść. Tylko w stosunkach między ludźmi krąży jakaś niedokładna informacja, jakiś niepotrzebny stereotyp.

Przede wszystkim postuluję powołanie (wynikające naturalnie z sytuacji, a nie z nadania i przymusu) grup absolutnie nieformalnych. Zwane są one przeze mnie – tylko dla ułatwienia

i skojarzenia z poprzednio omawianym systemem plemiennymi – plemionami otwartymi.

Nigdy nie wiadomo, gdzie naprawdę kończy się nasze plemię otwarte i kiedy natknemy się niespodziewanie na jego liczne (oby liczne) gałęzie.

Członkowie plemienia otwartego nie mają żadnych cech obowiązkowo wspólnych, oprócz może przyjaźni dla określonego człowieka lub dla każdego spotkanego człowieka (tacy ludzie istnieją, znam ich). Plemię otwarte nie ma żadnych granic. Ktoś może nagle do niego dołączyć, odejść, wpaść na chwilę. Może się ono utworzyć na odległość kontynentów i wśród sąsiadów z jednej kamienicy.

Plemię otwarte ma skład zmienny ze skłonnością do powiększania go. Określa się wobec ludzi spoza plemienia pozytywnie, wyrażając natychmiastową gotowość przyjęcia każdego przyjaźnego obcego.

Plemię zamknięte odwrotnie. Określa się w stosunku do ludzi spoza plemienia negatywnie – wszystkich uważając za obcych, a więc wrogich, tym samym nie nadających się w żadnym wypadku do przyjęcia do plemienia.

Członkowie plemienia otwartego, łatwo przyjmujący między siebie obcych, charakteryzują się także większą łatwością zarówno brania czegoś od innych, jak dawania innym. Bo życie pełne nie polega na tym, że ktoś, kto tego potrzebuje, zostanie obsłużony i tyle. Ono polega na wymianie, niezależnie czy toczy się wśród prawdziwie zdrowych, zdecydowanie chorych, czy ludzi w stanie pośrednim.

Nie ma stanu pod słońcem, który by tę wymianę mógł przerwać. Dotyczy to przecież nawet całkowitej nieprzytomności. To, że ktoś jest chwilowo nieprzytomny, nie znaczy wcale, iż na przykład przestał nagle kochać tego, kto przy nim właśnie siedzi, czekając na polepszenie, a kogo kochał przed utratą przytomności. Ta niezawiniona nieobecność miałaby zerwać wymianę uczuć? Uczynić ją jednostronną? Dlaczego?

Nie jestem w stanie pojąć zarzucenia ruchliwych ludzi w stosunku do Losu. Czy nie myślą o tym, że sami, nie dochodząc nawet do następnej ulicy, mogą na skutek wypadku lub choroby stać się kalekami na całe życie? „Nie, mnie to nie spotka!” – myślą. Ale dlaczego? Doświadczenie uczy, że możemy wszyscy przeżyć życie, wystarczająco ciężkie i bez chorób, jeśli tylko jedni ludzie będą wspierać innych.

Chorzy umieją sobie świetnie wyobrazić zagrożenie. Znajdą niespodzianki Losu. A jednak na przykład, instynktownie mniemają, że nienazwane nie istnieje. Skoro tabu pojawiło się chyba wraz z pojawieniem człowieka na ziemi i do dziś istnieje, trzeba je może po prostu uznać za nieodłączną część życia ludzkiego. Tabu stanowi zarówno część strachu i niewiedzy, jak obrony, a także stanowią, którą wiedzący ukrywa sam przed sobą.

Jak powiedzieć – nie jest wyłącznie państwa problemem. Wiem, że nie zabrzmi to wcale pocieszająco, kiedy powiem, że pierwszy ma z tym kłopot lekarz. Oznajmienie poważnej diagnozy najpierw uderza w lekarza. Ta nieumiejętność wydaje się charakterystyczna dla naszej cywilizacji, w której śmierć traktowana jest często jak kiedyś trąd. Umieranie zbyt łatwo bywa wyrzucane poza nawias zwykłego życia, do którego przecież przede wszystkim należy.

Ludzie boją się wielkich słów, a właściwie pojęć, które w świadomości społecznej znalazły się tak wysoko, że mogą się czasem wydać niedostępne. Do takich pojęć niezwykle ważnych dla życia i podstawowych dla naszych tutaj rozważań należy: miłość, twórczość, aktywność.

Miłość z pewnością daje od razu inny start w życie, w życie po prostu. Miłość przecież jak najściślej łączy się z instynktem życia. Nie musicie wcale o tym rozmyślać, a ona już działa. Jeśli ona istnieje, a państwo poświęcają jej wiele świadomej uwagi, tym lepiej. Każdym momentem wagi poświęcony miłości umacnia waszą obronę.

Ciekawość i miłość to życie.

Śmierć to nuda i brak uczuć.

Nuda i brak uczuć najbardziej zagrażają dzieciom, osobom starszym i ludziom przewlekłe chorym. Zdrowi dorośli! Nie lekceważcie tej wiadomości. Tamci naprawdę po trochu się od tego zapadają. Mogą po cichu umrzeć na waszych oczach, jeśli tutaj na ziemi ich nie przytrzymacie.

Czy może być wypowiedź pełniejsza niż w twórczości? – Jest to działalność naprawdę i jedynie ludzka. Pierwszy Wielki Twórca tchnąwszy w człowieka duszę dał mu również jakiś okruh możliwości twórczych. Dar ten nie zawsze wydaje się łatwy do wykorzystania, ale wbrew pozorom dostępny jest każdemu. Jedynie człowiek obdarzony został wyobraźnią, możliwością projektowania, planowania dalekiej przyszłości. Aby tworzyć, nie trzeba być geniuszem – trzeba być człowiekiem.

Działanie objawia się nie tylko wygrywaniem maratonów, lecz czasem podniesieniem głowy. Życie to działanie, czy człowiek nadal jest pilotem odrzutowca, czy nigdy nim nie był.

Niezależnie od tego, jak daleko posunęła się lub posunie medycyna, niezależnie od tego, jak bardzo mądry jest akurat wasz lekarz (ja mam pod tym względem wielkie szczęście), musicie, państwo, o jednym zawsze i wszędzie pamiętać. Naprawdę to wy sami odpowiadacie za swoje życie i zdrowie. Lekarz ani nie przymusił was do zwrócenia się do niego, ani różdżką was nie wykrył. Nawet najmądrzejszy lekarz nie zdejmie z was odpowiedzialności.

To wasze życie. To wasza dusza i wasze ciało. To wasze zdrowie.

Jako humanistka, a przede wszystkim jako człowiek, odczuwałam pewne braki w technice tłumaczenia pacjentom ich realnej sytuacji.

Wydaje mi się, iż medycyna nowoczesna, kładąc nacisk na naukowość i specjalizację, nie uwzględnia właściwie duszy i osobowości ani lekarzy, ani chorych.

Powiecie, państwo, że choroba jest niewolą. W pewnym sensie tak – kto o tym wie lepiej ode mnie, po tylu atakach niedowładów i innych przykrych przygodach. Choroba na pewno stwarza nieraz straszliwe ograniczenia. Ale chciałabym się niezbyt uprzejmie i prosto do mostu zapytać: no to co? To już mamy zapomnieć, że jesteśmy obdarzeni duszą i możliwością myślenia?

Spotkałam kiedyś lupuszkę, która ma domek, w domu piwnicę, a w piwnicy wszystkie buteleczki po encortonie, jakie zużyła w swoim życiu. Widziałam ją tylko raz, zdaje się po dziesięciu latach jej leczenia. Był tego podobno spory worek.

Ten worek przypomina mi jaszczura z powieści Balzaca *Jaszczur*. Nie należy igrać ani z malejącym, ani z rosnącym jaszczurem. Bóg przecież widzi nawet te buteleczki, o których my sami zapomnieliśmy. A ludzie – czy należy ich straszyć workiem buteleczek? Niech sobie żyją. Może nigdy nie zachorują.

Rozumiem, że taki worek to rodzaj pamiętnika, namacalny dowód tej codziennej pracy, jaką wkładamy w leczenie. W każdą buteleczkę pakuje się dwadzieścia pastylek. Jak się przemożny buteleczki przez pastylki, wyjdzie droga życia.

Tak naprawdę jednak ludzie żyją nie mechanicznie i matematycznie, tylko, jakby tu to nazwać, powiedzmy – ludzie żyją mniej więcej. Posuwają się trochę po omacku. Nie znając naprzód Losu, wyznaczają sobie kolejne ludzkie cele, starając się utrzymać wobec życia w możliwie dobrej pozycji. Takie rzeczy jak codzienne zażywanie czegoś robią zazwyczaj tylko przymuszeni skrajnymi okolicznościami. Ludzie ze swym ciałem i ze swoją duszą może są przewidywalni, ale w ogólnych zarysach. Naprawdę są nieobliczalni i niepowtarzalni. To właśnie jest piękne. Nie dadzą się zinterpretować wyłącznie przez liczby i nawet, gdy policzymy wszystkie buteleczki z tamtego worka, nie poznamy drogi życia jego posiadaczki.

To jest Wasze życie (fragmenty) „Znak” 1994